

Kulturalne
XX-lecie
ziem
zachodnich

Oni żyli intensywniej

Wkład mieszkańców ziem zachodnich i północnych w likwidację zniszczeń wojennych (54% zabudowy miast i 27,5% — wsi) przewyższa znacznie podobne wysiłki pozostałej części naszego społeczeństwa. Zarówno w przemyśle i rolnictwie jak i w działalności kulturalnej notuje się tutaj — w dwudziestu powojennych latach — osiągnięcia, które zadecydowały o pełnej adaptacji tych ziem, a nawet o ich przodującej niekiedy w stosunku do reszty kraju roli. Dynamizm wszechstronnego rozwoju Opolszczyzny i Dolnego Śląska, Nadodrza i Pomorza, Warmii i Mazur — świadczy o tym, że na tych terenach żyło się intensywniej, że szczególnie aktywnie współdziałało tutaj w budowie wszystkich dziedzin naszego życia. Czynniki ekonomiczne zadecydowały zapewne o przekonaniu mieszkańców ziem zachodnich do trwałości zmian zaszłych w ich życiu, ale wynika stąd aktywizacja kulturalna pomogła niewątpliwie najbardziej w utrwaleniu świadomości poczucia wspólnoty, ułatwiła wspólne akceptowanie poglądów i przekonań. Ambicja tworzenia nowych wartości kulturalnych, nierozdzielnie związanych z własnym terenem, wynikała z trwałego przywiązania, z mądrego patriotyzmu lokalnego.

Pierwszym sygnałem rewolucji kulturalnej jest podniesienie poziomu szkolnictwa. Na ziemiach zachodnich otoczono szczególną opieką wszystkie jego rodzaje, co wynikało zarówno z najwyższego wskaźnika przyrostu naturalnego (nie tylko w kraju, ale i w Europie) jak i z konieczności celowego zaspokajania potrzeb kulturalnych młodego, prężnego pokolenia, czującego się gospodarzem ziem odzyskanych. W rezultacie liczba dzieci uczęszczających do przedszkoli wzrosła tu dziesięciokrotnie w stosunku do roku 1945, podczas gdy w kraju wzrost ten był dwukrotny.

Podobny wzrost liczby uczniów notuje szkolnictwo średnie ogólnokształcące i zawodowe, głównie zaś artystyczne (obecnie co trzecia szkoła tego typu znajduje się na ziemiach zachodnich, a co czwarty absolwent — to mieszkani tamtych ziem). Znacznie większy procent ludzi dorosłych kończy tu szkoły podstawowe dla pracujących; od 1955 roku liczba ich wzrosła o 62,1%, podczas gdy w kraju o 43,2%. Ten sam dynamiczny rozwój objął szkolnictwo wyższe; wyraża się to w następujących danych statystycznych: 29 wyższych uczelni, ponad 56 tysięcy studentów — czyli 29,4 % ogółu studentów w kraju.

Kto z mieszkańców Wrocławia czy Gdańska pamięta dziś apele do podróżnych, wzywające do przywożenia na ziemie zachodnie polskiej książki? W 1946 roku na terenach tych mieliśmy zaledwie 164 biblioteki — dziś liczba ta wzrosła pięćdziesięciokrotnie i stanowi jedną trzecią ogółu tego rodzaju placówek w kraju. Z księgozbiorów ich korzysta 26,5% ogółu czytelników kraju, a procent ten stale rośnie. Warto dodać, że to tu właśnie, we Wrocławiu, zrodził się popularny dziś, niezwykle cenny ruch kulturalny, w postaci kół przyjaciół książek. Warto też przypomnieć, że na jednego mieszkańca w kraju przypada 49 egzemplarzy gazet — w woj. gdańskim zaś — 58.

Szczególną karierę zrobiła na ziemiach zachodnich telewizja (150 tysięcy teleabonentów — co trzeci na wsi!), a wynika to m. in. z jej umiejętności dostarczania się do praktycznych potrzeb mieszkańców. Telewizja jest tutaj na przykład w znacznie większym stopniu wykorzystywana jako pomoc w gospodarce (wspomnijmy telewizyjny kurs rolniczy). Podobny udział w tworzeniu nowego organizmu społecznego tych terenów ma kino. Obok projekcji filmów fabularnych dużą rolę odgrywa film instruktażowy, dokumentalny — często tworzony przez amatorskie kluby. Dziś na przykład w woj. wrocławskim każdy mieszkaniec co drugiej wsi ma zapewniony systematyczny dostęp do kina.

Rosnąca aktywność całych grup społeczeństwa, ich dążność do podkreślenia i utrwalenia tego, co zbudowano własną pracą — wyraża się również w imponującym wzroście sieci muzeów oraz ich szerokiej działalności i liczbie zwiedzających. Poważne tradycje ma tutaj również ruch społecznych opiekunów zabytków, najliczniejszych i najaktywniejszych w kraju.

W kształtowaniu jednorodnego organizmu społecznego nie mała rolę spełniało żywe słowo, teatr, muzyka. Konglomerat różnych nawyków kulturalnych stwarzał początkowo poważne trudności w tej dziedzinie. Zaczęto w 1946 roku od 11 teatrów, jednej opery i dwóch orkiestr symfonicznych. W 1963 roku — co trzeci teatr polski, 5 — z 13 oper i orkiest, 7 — 19 filharmonii i orkiestr symfonicznych działa na ziemiach zachodnich. Dodać trzeba, że wiele z tych placówek ma ustaloną, dobrą opinię w kraju i za granicą.

I wreszcie przybytki najbardziej powszechnego użytku kulturalnego: domy kultury, świetlice, kluby, których sieć na ziemiach zachodnich jest najgęstsza w całej Polsce (mieści się tu 1/3 ogółu tych placówek). Jest to wynik zbiorowego wysiłku mieszkańców osiedli czy wsi lub inispiracji szczególnie aktywnych obywateli, których nazwiska długo można by wymieniać. Wiele spośród tych przybytków masowej kultury — np. jeleniogórski klub „Kwadrat” (własna średnia uczelnia techniczna!) — jest dziś wzorem dla pozostałych.

Ten społeczny ruch kulturalny znalazł również swe szczególnie imponujące odbicie w rozwoju licznych regionalnych stowarzyszeń (28,2 proc. ogółu). Ich działalność — np. olsztyńskiego „Pojezierza” czy Lubuskiego Towarzystwa Kulturalnego — jest wyrazem narastającego przywiązania do regionu i swoistego lokalnego patriotyzmu, wyrażającego się w działaniu na rzecz rozwoju własnego środowiska. Stowarzyszenia te — to szkoła społecznego działania, społecznej edukacji, a jej rozmach — to największe osiągnięcie kulturalne ziem zachodnich.

Opracowała: W. CH.

Olgiard Błazewicz

List z Kalisza PLASTYKA

W dość bogatym rejestrze imprez towarzyszących Festiwalowi znalazło się też kilka wystaw plastycznych. Ogładyśmy więc w „Muzeum Ziemi Kaliskiej”, wystawie indywidualną plakatów i grafiki plastyka kaliskiego Władysława Kościelnika.

Plakaty Kościelnika nie imponują zbyt świeżością rozwiązań tematycznych, ani łatwością w tworzeniu uogólniających i symbolicznych syntez — na czym przecież polega w ogóle istota plakatu. Grafika jest znacznie ciekawsza. Cechuje ją dość interesująca metoda twórcza polegająca na wyznaczaniu do maksimum powierzchni całego linorytu. Jego panoramiczne pejzaże miejskie zgola fotograficznie pre-

Aleksander Rogalski

NIEPOKOJĄCE DYSPROPORCJE

Dzisiaj problem niemiecki ukażuje nawet więcej twarzy, więcej stron niż lat temu 20 i więcej. Pytania, które on stawia, mimo olbrzymiej i ustawicznie rosnącej literatury, nie znalazły jeszcze pełnej, wyczerpującej odpowiedzi. Są w nim obszary jeszcze nie spenetrowane, obszary ciemne i dlatego szczególnie niepokojące.

Niedawny proces Eichmanna a obecnie proces frankfurcki należą do tych wydarzeń, które fakt ten uwydatniają w sposób nader wyrazisty. Przez ich pryzmat oglądany problem niemiecki, problem zbrodni hitlerowskich, ich następstw i winy za nie, przybiera postać newralgicznego dylematu ludzkości i cywilizacji: znaczeniem swoim wykracza daleko poza granice historiografii, pobudza do roztrząsań i badań psychologów, socjologów, antropologów, filozofów, moralistów i pisarzy, często we właściwy im sposób jednoczących wszystkie te dyscypliny i zainteresowania. (...)

Zbrodnie hitlerowskie wraz z całym swoim sztafżem, aparatem, z wszystkimi swoimi realiami, z całą swoją atmosferą, a przede wszystkim z przeciętną masą swych wykonawców — stawiają nas w obliczu zjawiska na wskroś, specyficznego niemieckiego.

Ale jednocześnie stawiają nas one w obliczu dylematu par excellence ludzkiego, uniwersalnego. Jednakże każda z tych stron budzi nowe pytania. (...)

Jednym z faktów, który kładzie ponurą cień na dzisiejszy świat jest to, że możliwości i czynniki odrodzenia się hitleryzmu nie zostały wraz z rozgromieniem jego militarnej potęgi zniszczone, że istnieją one nadal w pewnej, dającej zresztą wyraznie znać o sobie postaci i to w tym samym kraju, z którego wyrósł zjawisko hitleryzmu.

Tu dotykamy nowego newralgicznego punktu problematyki niemieckiej, zagadnienia winy, winy za hitleryzm, za jego zbrodnie, za jego wojenne agresje. Z całej dotychczasowej, konsekwentnie przestrzeganej linii postępowania rządu NRF, jego rozszczeń i jego postawy zdaje się wynikać, iż traktuje on okres hitleryzmu jako epizod, wprawdzie wyjątkowo krwawy, niemniej jednak tylko epizod w długich dziejach Niemiec. Z tej racji nie może on nakładać na tych, co go przeżyli, ani na nowe pokolenia żadnych obowiązków, nie może obciążać ich sumienia, nie zmusza ich do przyjęcia określonych skutków poczynionych przez siebie spustoszeń w świecie i swej przegranej. Ponieważ w świetle tego stanowiska hitleryzm

z całym inwentarzem swego złoczynstwa nie dotyczył w sposób zasadniczy narodu niemieckiego (choć przyczynił mu wiele szkód), przeto naród niemiecki nie poczuwa się do winy z powodu hitleryzmu i nie może z jego racji ponosić trwałych konsekwencji. Jedyne co rząd NRF uznaje, to tylko i wyłącznie winę kryminalną i to w odniesieniu do tych członków narodu niemieckiego, którzy uczestniczyli bezpośrednio w zbrodniach hitleryzmu.

Tymczasem bez przyznania się Niemiec do winy i do współodpowiedzialności w tej mierze i bez szczerej woli naprawienia zła (na ile to było w ogóle możliwe), nie mogło być mowy o podjęciu wysiłków, które by miały na celu całkowitą

„Znamienne, że ciężka choroba, jaka nawiedziła miliony mieszkańców tego kraju (tj. Niemiec) nie fascynuje ludzi pióra. Poza wyjątkami, dającymi się wyliczyć na palcach, nie dostrzegam w powojennej literaturze niemieckiej poważniejszych prób rozprawy z przeszłością i poszukiwania owego *peccatum originale*: jak w dwudziestym wieku mogło dojść do himmleryzmu.

A przecież to jeden z niewielu tematów, o których w ogóle warto pisać. Literatura (...) tutaj słomnie zawodzi. Gdzie jest nowy Alighieri? Ach, oni nawet swojego Camusa nie mają! Ani Defego kronikarza plag! A przydałby się po tym wszystkim nowy Dostojewski jeśli nie Bernanos.

Epidemie, nieuleczalne choroby, sabaty czarownic, węzowiska, degeneracje... W kraju nawiedzonym przez zarazę jakoś nikt nie chce się zająć latami dżumy. Nie podstawiono zwierciadła tamtemu czasowi, tamtym assmoim (mordowaniom) i ich ofiarom. Zawiadomcy sumień mniej są uczuleni na choroby i wynaturzenia swoich współwierznych niż Zola czy Strindberg. Pisując ciutkie, starannie wystukane na maszynie stroniczki. Bez upiorów, bez wbijania pióra w węzowisko. Ten stan rzeczy nasuwa pytanie o przyszłość: „Jeśli powojenna literatura jest tak niebezpiecznie letnia, czy można mieć nadzieję, że po iluś tam latach chłopcy i dziewczęta na tej ziemi pomyślą sobie z ulgą: przy dzisiejszym poziomie wiedzy lekarskiej naród nasz nie potrzebuje już umierać na chorobę zwyrodniałego nacjonalizmu?”

Czy przytoczona ocena literatury niemieckiej zachowała aktualność po czterech latach? Otóż może się myśle, ale wydaje mi się, że wymaga ona tylko nieznacznej korektury. Mimo bowiem pojawienia się w tym czasie paru wybitnych dzieł, które podjęły takie czy inne fragmenty problematyki niemieckiej, nie sposób zaprzeczyć, iż istnieje rażąca dysproporcja między znaczeniem tej problematyki dla samego narodu niemieckiego jak i dla całego świata a jej dotychczasowymi projekcjami w literaturze zachodnioniemieckiej. Pisarze zachodnioniemieccy w porównaniu ze swoimi kolegami europejskimi czy amerykańskimi (...) niewielki zapal objawiają do odbywania podróży ku kresowi ciemności lub do odważnego i baczego wpatrywania się w twarz Meduzy. Dlatego też najsmielszym dokonaniem literatury niemieckiej w tej mierze najgłębszym, najbardziej wielowymiarowym pozostaje nadal „Doktor Faustus” Tomasza Manna.

Z referatu pt.
„Problem hitleryzmu,
jego genezy i istoty oraz
odzwierciedlania w literaturze zachodni-
niemieckiej“
wygłoszonego na VII Zjeździe
Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych

dezynfekcję życia niemieckiego z wirusów nacjonalizmu i militarizmu.

Po wojnie niezmiernie pilne i konieczne wydawało się również dokonanie przez naród niemiecki rozrachunku z niedobrą przeszłością, podjęcie przezeń wielkiej, długofalowej akcji reedukacyjnej, szczególnie zaś oparcie wychowania młodych pokoleń na całkowicie odmiennych od poprzednio obowiązujących wzorów.

To wszystko — jak wiemy — na większości terytoriów obecnych Niemiec nie nastąpiło. I w rezultacie świat — po 19-stu latach od zakończenia wojny wciąż zadaje sobie pytanie: Czy i o ile dzisiejsi Niemcy się zmienili?

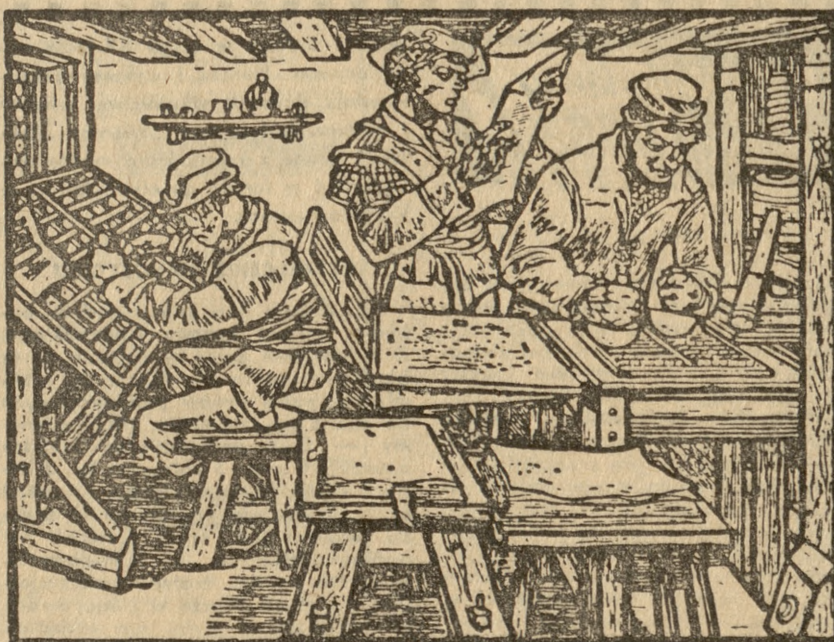
Z kolei referent omawia twórczość kilku pisarzy — Tomasza Manna („Doktor Faustus”), Wolfganga Borcherta, Heinricha Bolla, Alberta Goesa, Christiana Geisslera. A. Rogalski tak kończy swe wystąpienie.

W roku 1960 Tadeusz Nowakowski, dobrze znający Niemcy zach. autor „Obozu Wszystkich Świętych” pisał:

600 lat polskiego księgarstwa

Dokumentem, który po raz pierwszy wspomina o zawodzie księgarza, jest przywilej królewski z 12 maja 1364 roku, którym Kazimierz Wielki powołuje do życia Akademię Krakowską. Od tej daty wywodzi się rodowód polskich księgarzy. Powołanie pierwszej polskiej wyższej uczelni spowodowało gwałtowny wzrost zapotrzebowania na dzieła naukowe i podręczniki. Początkowo przepisywali je profesorem, bakałarze, studenci i specjalnie utrzymywani do tego celu pisarze. W miarę jednak wzrostu liczby studentów i rozwoju kierunków nauki, metody te przestały wystarczać. Rolę „kopistów” przejęły drukarnie. Pierwszy druk krakowski pochodzi już z 1476 r., to jest ówczesny wiek po pierwszych książkach wydanych w Moguncji. Było to dzieło Turrekrematy pt. „Explanatio in Psalterium”. Sztuka drukarska szybko rozprzestrzeniła się w kraju. Już w wieku XVI było w Polsce ponad 100 drukarni. Na rysunku: tak wyglądał warsztat drukarski w XVI wieku.

CAF



druków teatralnych a przede wszystkim projekty dekoracji i kostiumów. Twórczość Zbigniewa Kaji obejmująca dziś szereg rozmaitych dziedzin plastyki użytkowej i wystawowej wydaje się posiadać wiele cech wspólnych i jednorodnych. Jest nią łatwość w stwarzaniu point plastycznych, pomysłowość rozwiązań polegających na znajdowaniu jak najprostszyszych rekwizytów przedmiotu będących wyraźną aluzją do szerokiej uogólnień. W scenografii Kaja opowiada się za neorealizmem, lubi operowanie skrótowymi symbolizującymi płaszczyznami z centralną, jedyną idea treściowych skojarzeń. Niekiedy jednak zbliża się do kubizmu, monumentalizacji swych dekoracji, przytacza nimi autora.

W innej z sal Domu Kultury ekspozycja jest wystawa kaliskich fotografów-amatorów. Siedmiu fotografów: Tadeusz Goraj, Ryszard Mielcarek, Władysław Wroniecki, Bronisław Włodarski, Maria Kasperska, Jerzy Jabłonowski i Iwona Urbanowska opowiada swymi obiektywami o pięknie Kalisza — jego zabytkowych kościołach, wąskich uliczkach i parkach. Stara koncepcja liryczno-opisowa dominuje na tej wystawie. Wreszcie w salach Studium Nauczycielskiego pokazują swe obrazy członkowie poznańskiej grupy „Jednolita”, o której pisaliśmy z racji ich wystawy w „Arsenale”.

Poniżej zamieszczamy dokończenie opowiadania Przemysław Bystrzycki pt. „Anujka”, przeprasząc jednocześnie Autora i Czytelników za omyłkową anotację w „Głosie Tygodnia” z 3 bm.

ANUJKA

OPOWIADANIE

Wrócili tego samego dnia od lajby. Przechylona na bok bezwstydnie odślaniała przy odpływie kawał stempki. Odejsie wód wklinało przekrzywiony korpus między progi skalne. Zabrali żywność, dokumenty i osobiste drobiazgi, radiotelefonu wymontować nie potrafili.

Na leżach porabiali jałowicę, nocą postanowili to zapalić. Kolejno dorzucali wilgotne gałązki do ognia, płynęły niby wciąż. Maruta wyznał wachty. Tak nakazywał instynkt. Następnego dnia wrócił do kutra nadawać. Wołał, wołał aż ogłuchły głos hawki: „ślad” akumulujący się nie siedzi w antenie. Palili więc dalej w czwórce pod gotyckim ostrołukiem, a szyper puścił siekierę w ruch; za dnia dymili co się mokrym chrustem, wieczorem buzowali płomieniem.

Ludzie szli na rękę, przykład gorliwości dawał „komodor”, szczególnie dbały o dokładne wypełnianie poleceń przełożonego. Zżyli się już dawniej, teraz doświadczał Maruta, że na tych trzech można polegać. Nie padł z ich ust żaden protest. Wśród bezludzia, surowizny i skał poznawał moc więzi wcześniej nie podejrzewanej. Rozumiał, że więź to za-wdzięcza wymogom, obowiązującym z dala od lądów stałych. Wpływało to i na inne zdarzenia. Mając dość wolnych chwil do myślenia, od nowej strony dostrzegał niedawne udręki. Każdy dzień przeżyty w izolacji pogłębiał wyrwę pomiędzy przyjmowanym dotąd szacunkiem rzeczy, a istotnym ich stanem. „Kupę” w istocie rozbity już, zobaczył któregoś dnia inaczej, jak inaczej widzi się wodę zza burty, a inaczej z brzegu. Co zrozumiał z tamtych, trzymających się zawsze z dala. Popatrywał na trzech swoich, niby przedstawicieli owej gromady: „komodor” próbował drzeć na wilgotnej trawie, waciak podsunął pod krzyż. Należało mu zwrócić uwagę, że od takiego leżenia może oberwać sztos w piersi; para młodszych grała w zechyca. Dym siedł ku błękitom.

Czy mógł w każdym calu lądowy człowiek, przez pokolenia poddawany tylko miarowemu falowaniu ziemi, rodzącej spokojnych zjadaczy chleba, ziemi nie łapczywej na ludzkie losy — pojąć nadmorskich? Wziął obce dziecko. Takim sposobem odpowiadał własnej potrzebie, której tamci nie rozumieli. Wojna i partyzantka dużo zjadła sił, chciał teraz między nowymi ludźmi znaleźć spokojne miejsce. Złe ułożył rachunek. Anujka zamiast ułatwiać to, zbliżyć jego do reszty, sama stanęła na przeszkodzie. Drobna postać rzucała wielki cień. Tylko uporowi zawdzięczał, że nie utonął w tym jej mroku.

Wpierw, zanim dostrzegli co płynię, zobaczyli światła. Sygnały wo-

łały bez echa, bo nie było jak odpowiadać, wzmocnili więc dym. Dochodził trawler o pięknej nazwie „Zorka”. Wypuszczono stamtąd szalupe. Z wyspy szły znaki podawane rekami by ze złej strony nie pchano się: przypływ potopił skałki szkodliwe dla den. Ale tamci już zreszcnie wybrali pełną zatoczkę, spychana w przeszłość cieniem gotyckiego łuku. Kiedy dobili, trójka zbiegła, Maruta dostojnie postępowal z tyłu. Zagadał z przybyłymi. Odesłał swoich po rzeczy pozostawione w wieżowej izbie. Weszli do łodzi. Przeskoczyli przybój. Z fali na fale, spokojnie, wśród sapania wioślarzy odczytywali wyraźniejszą nazwę statku. Po opuszczonym sztorcie wydźwignęli się na pokład.

— Rozbili kruszynę, a? Nu tak, tak, szukać kazali i nam. Pływania dużo, skutku nie dużo, żeby choć ślad jaki; radio zaniemowało?, bywa, na morzu wszystko bywa. Odnaleźliśmy moriaków, o? Co. Jak długo koczowali?

— Siedem dni.
— Tydzień. Można wytrzymać.
Po drugiej stronie wyspy pokazał im Maruta własną bidę wkleszczoną między skałki.

— Nic to, odciągną. Przy takim poziomie jak teraz, jerunda! U nas, widzisz, nie takie rzeczy, u nas z dna dobywamy, z samiusieńkiego, a woda u nas głęboka. Tutaj byle kadłub nie przepuszczał, to o większą jednostkę zaczepi się i hajda, cała naprzód!

Miałe wracać do domu bez łodzi?

— Wiecie co?

— Nie nie wiemy, ale wał śmiało, odratowaliśmy ma przywileje.

— Jedyna prośba: dajcie pozostać. Podobno jest tak, że szyper winien z kutrem...

Porzucony statek — plama na całe życie.

— Durny, patrzcie co gada. Żeby zostawić? A po co zostawić, zaraz oddamy twoim i wygodnie pojedziesz do domu.

— Kiedy muszę...

Musi tylko na Rusi, Rosjanom więc dwa razy nie mówić. Odczekali wieczora. Stempka znów trochę wylazła. Wtedy marynarze z „Zorki” podплыли na brzeg z Marutowymi, razem podparli kadłub, wyrównali położenie. Przy ogniu przesiedzieli do świtu. Nad ranem do rufy trawlera dorzucili z kutra hol; a kiedy woda dała z dwa metry zapasu, trawler huknął z komina i wyrównany korpus Marutowej łodzi spelił po zanurzonemu stoczku. Trochę tylko obtarło burty. Kt-114 napiął wiodącą linę; ruszyli ku południowi na pełnym skoku.

— Masz ci prezent od „Zorki”. Na wodzie nic sam nie poradysz, jeden drugiemu musi pomóc...

Rosjanie wyszli na poszukiwanie z Rynny Norweskiej, teraz musieli wracać do swoich. Napotkany na zajutrz gdyński kuter dalekomorski przejął od nich hol. Przedtem Maruta podziękował wybaczącemu za ocalenie, potem już tylko wypatrywał polskiego brzegu. Zrzadzeniem losu pogoda trzymała. Ciępy wiatr wytopił sople, polarna mewa odeszła ku północy. Po kilku dniach światła Bornholm zamygały i prawie równocześnie kołobrzaska reda wyznaczyła domowe wody. Od rana sunęli znów kursem południowym.

Nie dymił krwawy opar, na mglisty zachód słońca trzeba poczekać pół dnia, mrużyć czy od światła i spoglądać ku ciemniejącemu lasem pasemku piasku. Buchnął tam dym: pociąg szedł wzdłuż półwyspu; nim to właśnie Marucina jeździła; do Pucka. Zamglona jasność, podchodząca znad lądu, przywołała inny dym, czarny, i czarny kadłub; naprzeciw płynął ratowniczy „Neptun”. Spóźniony o cztery doby. Ustępował teraz jakby wstydliwie rozbitkom miejsca na forwatrze i pohukiwał. Witaj tak. Prawdopodobnie wiedzieli już na dalekomorskim kogo się wiezie. Maruta oparty o reling patrzył na tych, którym nie dane było zdążyć. Odległość malała. Rozróżniał się twarze skupione pod szalupami i wokoło nadbudówek. Na górze, na kapitańskim, z odkrytą głową stał ktoś bardzo barczysty. Poprosił Maruta o lornetkę, nauczył się bowiem nie wierzyć bez sprawdzenia. Stał tam Węgosz, wychylony w pół ciała, w skórzaną kurtkę. Machał rękami, ludziom zebranym poniżej dawał jakieś zlecenia. Podsunęli się jeszcze, na gust Maruty za blisko przy spokojnej wodzie nawet. Można było rozmawiać.

— Węgosz?
— A?
— To ty?
— No!
— Po co tu?...
Nie było odpowiedzi.

Opuszczono baczki, przewodniczący przeskoczył reling, mimo tuszy z niebywałą zręcznością zszedł po drabinie sznurowej, na chwilę Maruta zamarał, oba kadłuby dotknęły kruszyny, zagroziły łódce zmiażdżeniem. Prawie niewidocznie poruszając wiosłami sprawnie wyszedł z opalów, podpłynął od zawietrznej. Uczynił znak ręką: wsiadajcie!

Skrzyknęli się więc, schodzili na dół kolejno, jeden po drugim, Maruta jak zwykle na końcu.

nywania... „kontrolnych ofert łapówkowych”. Przeprowadzane one byłyby bądź za pośrednictwem personelu tych organów, bądź też osób związanych z organami ściągania doraźnym stosunkiem zlecenia”.

Tym, którzy przyjmą taką propozycję z niesmakiem, autor przypomina, że istnieje w tej mierze już precedens: taka swoista prowokacja się przecież kontrolne zakupy dokonywane przez inspektorów Państwowej Inspekcji Handlowej.

SZYLDY — DLA KOGO!

Teofil proponuje w „Szpilkach”, by wzorem szyldów „Klient ma zawsze rację” (to wzbudza w nas zaufanie, bo możemy myśleć, że mamy rację nawet wtedy, kiedy nam jej nie przysięga) i „Zakład świadczy usługi dla ludności” (to ma nas przekonać, że sieć punktów usługowych staje się coraz bardziej gęsta) — wprowadzić nowy szyld: „Instytucja świadczy usługi dla ludności”. Należałoby je rozwieścić we wszystkich urzędach i instytucjach lecz nie na zewnątrz tych lokali, ale w biurach i gabinetach, bowiem nie do interesantów powinny one być skierowane...

O POZNANIU

„Tygodnik Kulturalny” w cyklu „Słownik polskich pisarzy współczesnych” — przedstawia sylwetkę i twórczość Leszka Proroka. W tym samym czasopiśmie znajdujemy artykuł o przemianach w życiu kulturalnym Wielonia nad Notecią. „Tygodnik Demokratyczny” pisze na temat zbyt pośpiesznego zarzucenia produkcji odzieży z materiałów tradycyjnych i wprowadzenia wzamian laminiatów, które okazały się jeszcze bardzo niedoskonałe. Straciły na tym przede wszystkim Zakłady Odzieżowe, m. in. nasze PZPO im. Komuny Paryskiej.

LEKTOR

Kiedy usiedli, rzekł Maruta głosem, którego nie poznał.

— Daj wiosło.

— Steru pilnuj.

Piskliwie skrzypiały dulki. Wyświecona skóra na drzewach czerniała, nie odbijała światła w tym wciąż mglistym dniu. Poddawany szarpnięciom gigu Maruta zbliżał bądź oddalał twarz od tego z napięciem. Obejmował ich wspólny rytm. Wyblakła głód morza odbierała jakiegokolwiek znaczenie mrocznej gestywie lasu.

Nawet się Węgosz nie zasał przy pracy. Spoglądał sobie spokojną twarzą, jakby nie wiedział, że zeszli się wreszcie na całkiem małą odległość, ot, na wyciągnięcie ręki. Płuł za to daleko czarną śliną jak smoła, Maruta odchrząknął chrypią i kiedy znów podano go naprzód, zagadnął: — Zechciało wam się wychodzić?

Tamten milczał. Opuścił Maruta oczy i patrzył na ciemną bluzę przewodniczącego, która na lewej piersi zachowywała jaśniejszy podłużny znak niemieckiego orla. Zostało więc jeszcze i to.

— Wojenna? — zapytał.

Wioślarz drgnął, powoli wzrokiem po sobie, podniesione pióra uronili kilka kropel, gig zachybotał. Splunął ponownie, skrzywił się.

— Wojenna! Bo co?... Nie pływaliśmy dlatego... — wyrzucił słowa szcękające, jakby zdawał meldunek.

— Za karę nie pływaliśmy... Zresztą mam swoje lata i inną robotę.

— To po co teraz zeście wyszli?

Raz jeszcze nie dostał Maruta odpowiedzi.

Powoli pojmwali, że chodziło tym razem o coś całkiem prostego, co w ich nieefektywnym języku nazywano potrzebą. Węgosz pragnął jej teraz gwałtownie sprostać po raz pierwszy od wojny. Dlatego właśnie podejmował podzwanie.

Dopytywali. Podszła pływaczka. Dalej jest w dnie kotlinka wybita przebojem, a o kilka kroków żółta w lecie plaża, zimna zszarzała wskutek sztormów. W głębi szkarpa z urwanym brzegiem. Tam las. Na skraju niewidoczna stąd chałupa, niżej widoczne wydymki. Nic się właściwie nie zmieniło od lata, łód tylko wywaliło na brzeg i trochę morskiego

śmiecia. Nic się nie zmieniło przez ostatnie dwa tygodnie. Są też ludzie.

Odwraca głowę. Wpatrzony z powrotem w wodę zaciska rękę na śliskim rumplu. Żadną miarą nie może tak uporządkować myśli, by znaleźć na wszystko odpowiedź. Pióra wiosła wchodzi pływaczko, nie maca lustra na pływaczko: tak Węgosz, jakby nie innego całe życie nie robił, zna po centymetrze przybrzeże. Fala ciemnieje. Patrzył Maruta na marny ślad za łodzią, dopokąd dziób nie wlaży w żwir.

Trzeba wstać. Wstaje tyłem do brzegu, bierze spod ławki kuferek, wśród ciszy wygładzanej chłupotem nieznacznego przypływu, wypuszcza gładkie stylisko. Łódź szemrze, słyszy wędrując w jego wnętrzu kropelki wilgoci. Nie popęda nikt. Znikł gdzieś bas Węgosza. Czy ci, co przed nim siedzieli, zeskoczyli już?...

Trzeba się odwrócić. Robi to i opuszcza głowę. Z brodą na piersi, potykając się, przekracza puste ławki. Ciężko schodzi z dziobu. Po kilku krokach czuje wokół szyi ciepło. To ręce Anujki. Patrzy w zbiedniałą twarz, włosy nosi krótko przycięte. Nie zdążyła nawet zdjąć szkolnego fartucha.

Podnosi wzrok, dostrzega okrągłą postać Marutowej. Biegnie ku niemu. Jego ludzie ciągną łódź na brzeg. Węgosz woła coś, hamuje wyciągających baczki, daje znaki z których wynika, że sam odstawi go zaraz do „Neptuna”.

Jest taki dziwny moment: Maruta czuje, że powinien coś zrobić. Stawia na piasku Anujkę, potem bierze ją z powrotem. Tamci popatrują na nich, szwargocą, pamięta jak trudno pojąć ich mowę. Niesiona Anujka ciąży. Zasapał się. Nie taka to już kruszyna jak przed ośmiu laty. Pragnie wejść z nią na szkarpe tą samą ścieżką co wtedy, kiedy trzymała w ręku szklaną kulę po swoim ojcu. Nie może odnaleźć drożyny w wydartym nawaliną zboczku. Skreca. I myśli dokąd naprawdę zmierzał?

Istotnie — dokąd zmierzał? Dlaczego stawiał opór naszemu rozumieniu siebie. Trudno to pojąć. Lepiej więc skapitulować — podobne pytanie pozostać bez odpowiedzi.

Eugeniusz Paukšta

Od Krakowa...

Najpierw chyba dwie pozycje z serii artystycznej. Nowa książka **Andrzeja Banacha**, niezmordowanego w pracowności, konsekwentnie łączącego umiejętność pióra z rzadkim wyczuciem roli elementu graficznego w książce. Tym razem Banach zajął się próbą ukazania osobowości twórczej jednego z najciekawszych, najbardziej szokujących i na pewno najbardziej zdolniejszych naszych rzeźbiarzy współczesnych. „**Hasior**”, krótko brzmi tytuł tomiku, mówi od razu nazwiskiem rzeźbiarza, wokół jego twórczości, jej dróg rozwojowych, załamań i wlotów się obraca. A przy tym jest to obszerne studium, gdzie Banach rzuca sylwetkę Hasiora na tło całokształtu sztuki współczesnej, śledzi jej genezę, kierunki rozwojowe, analizuje osiągnięcia.

Druga książeczka z tej serii, to drukowany kilkanaście lat temu w „**Twórczości**”, dziś poszerzony w sposób bardzo istotny, esej **Kazimierza Wyki** „**Podróż do krainy nieprawdopodobieństwa**”, rzecz o roli i znaczeniu filmu w kulturze współczesnej i w perspektywie przyszłości. Ciekawe rozważania Wyki, zrzucone są na tło przemian zachodzących w sferze współczesnej, zafascynacja o problem zacieraania granic między poszczególnymi Muzami, o wchodzenie elementów technicznych w formę uzupełnienia, ułatwienia, ale nigdy w formie zastępczej...

Jak najszybciej zasygnalizować trzeba ukazanie się pracy niesłychanie ważkiej, potrzebnej, choć nie bez tego, aby w niektórych sformułowaniach nie była ona dyskusyjna. Myślę tutaj o książce **Jany Makoty** „**O klasyfikacji sztuk pięknych**”, poprzedzonej przedmową Romana Ingarden. Jest to ambitna próba uściślenia i wyraźnego określenia w oparciu o kryteria estetyki zaadania klasyfikacji sztuk pięknych. Od rozważań ogólnych, autorka przechodzi do analizy klasyfikacji sztuk w estetyce XX wieku, z kolei zaś opiera swą klasyfikację na porównaniach różnych rodzajów dzieł sztuki pod względem egzystencjalnym i formalno-materiałowym. Jest to praca na pewno specjalistyczna, ale o olbrzymiej wadze, zwłaszcza dla studiującej młodzieży artystycznej.

Wydawnictwo Literackie opublikowało także ostatnio „**Utwory wybrane**” **Krzysztofa Kamila Baczyńskiego**, w wyborze i ze wstępem oraz posłowiem **Kazimierza Wyki**. Wydane przed paru laty „**Utwory zebrane**” Baczyńskiego ocalać całocią spuścizny poety, z drugiej strony jednak

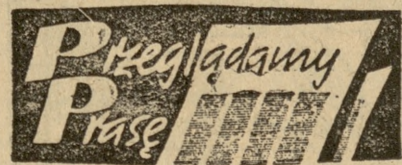
przekazywały odbiorcy materiał o nierównej wartości artystycznej. Dopiero obecnie K. Wyka próbuje w swej propozycji ukazać to, co w dorobku Baczyńskiego jest najcenniejsze. Słuszny jest ten pietyzm wobec pamięci młodo zgasłego poety, nie tylko przecież przez Jerzego Zagórskiego przyrównywanego do Słowackiego. Wybór miłośników w sobie zarówno liryczne, jak poematy i prozę, w sumie dając bardzo pełne wyobrażenie o dorobku i o możliwościach Baczyńskiego.

A teraz „**Godzina przestrogi**” **Zygmunta Grenia**, szkice z teatru z lat 1955—1963. Jest to debiut książkowy, zarazem jakby summa publicystyki teatralnej na pewno jednego z najciekawszych intelektualnie i najbardziej samodzielnie myślących krytyków scenicznych. Świetny jest podział publikowanych prac w rozdziałach o znamienitych tytułach: godzin miłości, rozpacz, wahania, nadziei, przestrogi i pokusy, jak znamienne ogólna tendencja tomu: ukazanie ambicji teatru współczesnego, i tych nazwanych jasno i tych, niedopowiedzianych ciałem do końca. Greń usiłuje te doprowadzić przyspieszyć.

Przed kilku laty ukazał się tomik **Krystyny Kleczkowskiej** „**Jutro nie będzie tajemnicą**”, przyjęty życzliwie i z zainteresowaniem jako rzadki dziś sondaż w problematyce „kobieca”. Ten sam temat pasjonuje autorkę w nowym tomie opowiadań „**Cztery strony świata**” gdzie tema są dalekie, egzotyczne kraje, a bohaterkami panie albo pracujące w naszych zagranicznych placówkach, albo towarzyszące tam swym małżonkom. Żyjąc w pewnej koniecznej izolacji, wyrwane z normalnego gruntu, stwarzają sobie nowe, własne światy, niekiedy śmiesznie maleńkie i puste. Kleczkowska stała na trafny psychologiczny malunek, teksty jej cechuje autentyczny przemysł i przeżył.

I wreszcie — nowy tomik **Piotra Choynowskiego** tak konsekwentnie przypominanego przez krakowską oficynę. Tym razem są to „**Rzeczy drobne i zabawne**”, wybór publicystyki z lat 1925—29, głównie „**Kronik tygodniowych**” publikowanych w „**Tygodniku Ilustrowanym**”. Satisfakcja czytelnika płynie nie tylko z aury przypomnień, ale i z zaskakującej niekiedy aktualności tych starych tekstów. Ano, zdarzają się w naszym kraju także i rzeczy niezmiennie. Szkoda, że raczej z tych najmniej ciekawych...

Z KSIĄŻKĄ NA TY



600 LAT UJ

Jubileusz 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego jest światłem całej nauki polskiej. Wydarzeniu temu poświęca wiele uwagi prawie wszystkie czasopisma. W „**Życiu Literackim**” rektor UJ prof. dr **Kazimierz Lepsz** (art. „**Uniwersytet Jagielloński i nauka współczesna**”) stwierdza, iż uczelnia ta — szczytując się swą przeszłością — widzi jednocześnie swoje zadania w służbie teraźniejszości i przyszłości. Autor formułuje uwagi na temat przodującej roli uniwersytetów pośród innych szkół wyższych. Jego zdaniem nikt nie wyręczy uniwersytetów w kształceniu w tzw. naukach podstawowych; uniwersytety powinny być ośrodkiem integracji i koordynacji różnych kierunków i specjalności naukowych; przede wszystkim uniwersytety powołane są do tego, by inicjować zespołowe, oparte na wspólnej aparaturze badania kompleksowe; rola uniwersytetów powinna też polegać na zachowywaniu równowagi pomiędzy techniką, naukami matematyczno-przyrodniczymi a współczesną humanistyką.

Wszystkim, którzy chcieliby bliżej poznać przeszłość, teraźniejszość i przyszłość wszechniczy jagiellońskiej polecamy świetne opracowanie **Janę Kalkowskiego** w „**Przekroju**” pt. „**Trzecia młodość UJ**”.

DOROBK OŚWIATY I KULTURY

„**Polityka**” publikuje specjalny dodatek w formie plakatu, poświęcony rewolucji oświatowej, jakiej dokonała

władza ludowa w ciągu XX-lecia wojennego. Plansze i wykresy przedstawia dorobek szkolnictwa, oświaty i kultury. Jest to tzw. „**Witryna „Polityki**” (druga z kolei), którą można wykorzystać w formie gazetki ściennej w zakładach pracy.

KSZTAŁCENIE NAUCZYCIELI

Tej sprawie ten sam tygodnik poświęca artykuł **Jerzego Łaniewskiego**. Z niepokojem autor sygnalizuje coraz bardziej widoczne tendencje do przemianowywania liceów pedagogicznych na studia nauczycielskie. (Przypominamy — licea pedagogiczne kształcą nauczycieli przez 5 kolejnych lat, 2 lata nie studia nauczycielskie natomiast przygotowują do wykonywania zawodu absolwentów szkół średnich — ogólnokształcących i zawodowych). Publicysta uważa, iż studia nauczycielskie nie mogą dobrze w ciągu dwóch lat przekształcać ludzi, nie mających nic wspólnego z pedagogiką, w wytrawnych nauczycieli, mogących uczyć we wszystkich klasach 8-letniej szkoły podstawowej. J. Łaniewski uważa, że nauczycieli klas niższych szkoły podstawowej lepiej przygotowują licea pedagogiczne (dlatego nie należy ich pochopnie likwidować); studia nauczycielskie mogłyby służyć **doskonaleniu** nauczycieli, którzy ukończyli właśnie te licea.

ŁAPOWNICTWO I PRAWO DO PROWOKACJI

Jan Hakowicki na łamach „**Prawa i Życia**” występuje z dyskusyjną propozycją, która miałaby jego zdaniem zapobiec łapownictwu.

„Wydaje mi się — pisze — że łapownictwo jako zjawisko znikłoby z naszego życia, gdyby wprowadzić względem urzędników swoiste „**próby uczciwości**”. Polegałyby one — z grubsza biorąc — na uprawnieniu organów ścigania do doko-